

STARCRRAFT®

LEGACY OF THE VOID™



BILZARD
ENTERTAINMENT

JIM RAYNOR: SZERYF KONFEDERACJI

Rozdroża Zatracenia

Autor: James Waugh

W sektorze Koprulu było niewiele rzeczy, których Jim Raynor nienawidził bardziej od Rozdroża Zatracenia. Ale uczucia względem miejsca na mapie nie należały do obowiązków szeryfa Konfederacji. Dlatego Raynor raz jeszcze wyruszył w kotlinę na piekielnej pustyni w samym środku pustkowi Mar Sary – tam, gdzie nie było niczego.

Wiatr omiatał z dudnieniem jego motolot, sępa, gdy Jim gnał przez opuszczony wąwóz. Chciał mieć to wszystko już za sobą, aby jak najszybciej wrócić do swojej ciężarnej żony, Liddy, i zdążyć na czas, tak jak jej obiecał. Powietrze było gryzące, suche i gorące. Ubitą, spękaną od słońca powierzchnię pustyni przecinała sieć żył. Minęła wieczność, odkąd pobłogosławiła ją jakakolwiek wilgoć.

To nie miejsce dla ludzi, pomyślał Raynor, ale to i tak ich nie powstrzymało.

Niewyraźna sylwetka szeryfa Glenna McAarona i policyjny furgonetkolot wyglądały z oddali jak wykrzywiony, brzydki miraż. Raynor miał odebrać ładunek, który już czekał – średnich rozmiarów

konfederacyjną mobilną celę. Cienie falowały w wiszącym wysoko na niebie popołudniowym słońcu.

– Szlag – wymamrotał pod nosem Jim, gdy kształty zaczęły robić się wyraźne niczym wspomnienia całującej go na pożegnanie Liddy. Rozdroża Zatracenia znajdowały się pośrodku niesławnych „anomalii fal radiowych”, co oznaczało, że instrumenty pokładowe często nie działały i że komunikacja była utrudniona, o ile w ogóle możliwa. Z tego powodu transport przez tę pustynną kotlinę, nawet jeśli opłaczalny, był bardzo niebezpiecznym przedsięwzięciem. Co gorsza anomalie zamieniły połąć dwóch tysięcy czterystu kilometrów kwadratowych w jeden z najściślej strzeżonych regionów na planecie – a może nawet w całej galaktyce. Wyjęci spod prawa na Mar Sarze i grasujące tutaj grupy przestępcze wiedziały o tym aż nazbyt dobrze. Większość jajogłowych z Oddziałów Badawczych Konfederacji wierzyła, że anomalie były wywołane impulsami elektronów emitowanymi przez rzadko spotykane formacje ostrych, postrzępionych kryształów, które wyrastały z bogatego w złoża minerałów wnętrza planety. Bez względu na przyczynę jednak, skutek był taki, że Jim musiał jechać przez najniebezpieczniejszą przełęcz w sektorze na spotkanie z najmniej lubianym przez niego szeryfem, aby przetransportować skazańców z jednej przeklętej strony planety na drugą.

– Jesteś tutaj, żeby zabrać celę, czy żeby do nich dołączyć, szeryfie? – McAaron wykrzywił się w makabrycznym, szczerbatym uśmiešku, gdy Raynor zatrzymał sępa.

– Zależy, czy powiesz coś, co nie spodoba mi się aż tak bardzo, że będę musiał złamać prawo. – Raynor splunął w pył. McAaron zapuścił się w ostatnich latach; teraz zza pasa wylewał mu się

brzuch, który, gdy obaj mężczyźni widzieli się poprzednio, nie był jeszcze tak widoczny. Wydawał się rosnąć z każdym kolejnym spotkaniem. Szeryf przygotowywał się do łatwego życia na emeryturze, która majaczyła już na horyzoncie.

– Nie zamierzam cię prowokować, synu. Masz kartotekę dłuższą niż większość kryminalistów, których tutaj przywożę. Gdyby nie twoi dobrzy przyjaciele, może to ty zmierzałbyś teraz do El Indio.

– Ależ szeryfie, co szeryf? Gdzie twoja wiara w odkupienie? – Jim błysnął własnym, popisowym uśmiechem i zszedł z motolotu. McAaron nosił odznakę od dawna i słyszał o przeszłości Jima. Ludzie tacy, jak starszy szeryf byli uparci i obstawali przy swoim światopoglądzie. W jego nastawieniu do byłego przestępcy nie było nic osobistego; przemawiało przez niego jedynie przyzwyczajenie.

– Ech, ludzie się nie zmieniają, szeryfie Raynor. Jak będziesz stróżem prawa wystarczająco długo, w końcu zrozumiesz. Dlatego mam cię na oku.

– A ja bardzo to doceniam, szeryfie. – Jim uśmiechnął się szerzej, a potem zmienił temat. – A co z tymi chłopakami tutaj?

Przyklęknął i spojrzął przez niewielkie, elektryczne kraty. Konfederackie mobilne cele stały się symbolem pogranicznych kolonii i planet rubieży, gdzie policyjne transportowce i inne wygody z bardziej cywilizowanych światów były zbyt kosztowne. Mobilne cele dysponowały osiami

magnetycznymi; technologią pozwalającą unosić im się w powietrzu i utrzymywać stałą prędkość czterystu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę; klimatyzacją; wsparciem dla wszystkich potrzeb fizjologicznych i systemem oczyszczającym powietrze oraz uzupełniającym tlen co trzydzieści minut. Jim pomyślał, że kryminalistom musi być o wiele wygodniej niż jemu.

– Ta sama, wesoła gromadka, co zawsze, gotowa do długiego pobytu w najlepszych hotelach na Mar Sarze. – Nagle szeryf podniósł głos. – Słyszycie, chłopaki? Wszyscy jedziecie do więzienia El Indio? – Zaśmiał się, a jego śmiech szybko zamienił się w urywany, mokry kaszel. Jak wcześniej, w jego słowach nie dało się wyczuć żartu, a jedynie chłód i okrucieństwo.

Jim się nie zaśmiał. Więzienie El Indio – niedofinansowany zakład karny o ostrym jak brzytwa rygorze, który mieścił najgroźniejszych przestępców – było kiepskim obiektem do żartów. Powszechnie znanym faktem było, że przeżywalność więźniów trafiających do El Indio wynosiła zaledwie sześćdziesiąt cztery procent. Było ono ucieleśnieniem konfederackiej sprawiedliwości w jej najlepszym, pogranicznym wydaniu.

– Popatrz na nich tylko – powiedział szeryf i splunął na piach. – Co za strata kredytów podatników, nie? Ale zawsze możemy liczyć na najlepsze i modlić się, żebyście nigdy nie przejechali rozdroży.

– Ten przeklęty cyrk na kółkach ruszy się wreszcie czy nie? – Słowa należały do jednego z przestępców wewnątrz, wielkiego, barczystego człowieka-bestii o czarnych wąsach, łysinie i ramionach potężnych jak słupy telekomunikacyjne. Jego ciało pokrywały piekielne tatuaże z całego sektora. Popatrzył na Jima z taką pewnością siebie, jakby nie mogło nią zachwiać nic na

świecie, a już szczególnie żaden samotny szeryf, który niczym chłopiec na posyłki wiezie olbrzyma ku nieuchronnemu.

– Uważaj na niego. Matka nie nauczyła go manier. To Marduke Saul, najwredniejszy sukinkot, jakiego można spotkać. Trafił tutaj za napaść, morderstwo, terroryzm, porwanie i za nieokrzesane sukinyństwo. – McAaron znowu splunął, tym razem kleista breja trafiła w klatkę blisko twarzy Marduke’a.

– Masz szczęście, że jestem po tej stronie, szeryfie – warknął Marduke.

– Co ty nie powiesz.

Raynor spojrział Marduke’owi prosto w oczy. Ten odwzajemnił spojrzenie, jakby chciał, żeby Jim potraktował go tak samo jak McAaron; aby go znieważył.

– Niech mnie, on nie jest taki zły, szeryfie. Chłop to prawdziwy misiek. Prawda, Saul? Bądź dla mnie dobry, a ja będę dobry dla ciebie. Proste.

Marduke zaczął się serdecznie śmiać.

– O, będę grzeczny jak aniołek, szeryfie. Nie chcę sprawiać problemów. Po prostu cieszę się, że trafię w takie luksusy.

– Szeryfie, błagam, proszę mnie nie zabierać do El Indio. Proszę, wszystko to jedno wielkie nieporozumienie. – Z tyłu klatki wyłonił się chudy więzień o jasnych jak piasek włosach i delikatnej twarzy. Jego pomarańczowy kombinezon był na niego za duży. Mężczyzna wydawał się nie na miejscu wśród pustynnej spiekoty i w więziennych ciuchach, bardziej przypominał bankiera niż więźnia.

– Ten tutaj to Rodney Oseen. Głównie drobne przestępstwa. Nazywali takich białymi kołnierzykami... Oskubał rząd Mar Sary z funduszy za pomocą wirusów. Ładniutki, nie? Nie przetrwa nawet jednego dnia w El Indio. – McAaron znowu się zaśmiał.

– Miło mi cię poznać, Rodney. – Uśmiechnął się Raynor. – Nic ci nie będzie.

– Akurat panu uwierzę. Wie pan, co oni robią w Indio. Nie jestem mordercą. To jedno wielkie nieporozumienie. Konfederacki sędzia się na mnie uwziął. Nie powinno mnie tu być.

– Dziś rozróbka, jutro wyrok i odsiadka! Prawda, Raynor? No tak, skąd ty możesz wiedzieć, co nie?

– rzucił McAaron.

– Słyszałem o tobie, szeryfie Raynor. – Trzeci z więźniów wszedł w światło.

– T-Bone Smalls. Największy rabuś pociągów po tej stronie Shiloh. Macie chłopcy ze sobą wiele wspólnego. – Wyszczrzył pozostałe mu zęby McAaron.

– Co racja, to racja. Chyba przejąłem ten tytuł po tobie, prawda? – kontynuował T-Bone. Raynor zmierzył go badawczym spojrzeniem. Więzień wyglądał znajomo; miał brodę podobną do Jima i bliznę na twarzy. Był młody i zarozumiały. – Wiem wszystko o fuchach, którymi ty i Tychus Findlay zajmowaliście się po wojnie. Byliście legendą dla mnie i mojego gangu, kiedy dopiero zaczynaliśmy.

Jim poczuł ucisk w dołku, jakby miał tam worek węży. Od wielu lat nie słyszał imienia Tychus Findlay. Wolał, żeby tak zostało. Pozwoliło to Raynorowi zacząć wszystko od nowa i nie myśleć o swoim dawnym wspólniku zbrodni ani o dawnym życiu, które tak bardzo chciał zostawić za sobą i znaleźć odkupienie. O życiu, z którego Liddy pomogła Jima wyciągnąć.

– Ale jednego nie rozumiem i może mi to wyjaśniesz. Jak taki przestępca, gość, który był figurą dla początkujących rabusiów takich jak ja, został szeryfem? – T-Bone się nachylił. Jim czuł na sobie zimne spojrzenie Marduke'a, który przetwarzał usłyszaną właśnie informację. Wyczuł, że zabójca go ocenia.

– Bo widzicie, chłopcy, nasz szeryf ma wysoko postawionych przyjaciół. – McAaron uśmiechnął się do Jima. – W magistracie.

– Dosyć tego pieprzenia, McAaron. – Raynor wstał.

– W życiu nie zabiłem człowieka, szeryfie. Po prostu nie lubię harować na przeżycie. – Kontynuował T-Bone. – To nie fair, że ty dostałeś szansę, a ja nie. Nie uważasz?

– Życie nie jest fair. Szeryf jest tylko kolejnym tego przykładem – Odezwał się w końcu chłodno Marduke. – Możemy już ruszać?

Raynor spojrzał McAaronowi prosto w oczy.

– Jeszcze raz odstawisz coś takiego, szeryfie, a będę miał do ciebie coś więcej niż tylko kilka słów. Rozumiemy się?

McAaronowi zmroziło krew w żyłach. Sarkastyczny uśmiezek zniknął. Po raz pierwszy od przybycia Raynora szeryf poczuł siłę jego słów, poczuł, jak niewiele dzieliło obecnego Raynora od dawnego przestępcy. W jego oczach McAaron ujrzał ogień. Niepewnie sięgnął do sakiewki przytroczonej do nogi i wyciągnął cyfrową opaskę na nadgarstek.

– To nowa zabawka z centrali. Kontroluje ich obrączki na kostkach. Naciskasz ten guzik i *bum*, po nodze. Naciskasz ten i *trach*, padają na ziemię z bólu. Zrozumiałeś?

Raynor wziął urządzenie. Popatrzył do wnętrza klatki. Więźniowie mieli ciasno opięte wokół każdej kostki duże metalowe obręcze.

– Nie radzę ich wypuszczać. W celi jest dosyć wody, a każdy z nich otrzymał na czas transferu implant żywieniowy, który powinien wystarczyć na dwa dni. Reguluje też potrzeby fizjologiczne. Skazańcy lubią uciekać i walczyć, więc lepiej być przezornym.

– To nie jest moje pierwsze rodeo. – Jim przystąpił do podłączania długiego, metalowego kabla mobilnej celi do tyłu swojego sępa. Miał dosyć gadania. Kabel został zaprojektowany tak, aby zapewniać solidne połączenie między celą a pojazdem transportującym. Wykonany był ze zgrzanego stopu wzmocnionego elementami katalitycznymi, twardszymi niż diamenty.

– Do zobaczenia, szeryfie. Złapcie się czegoś, chłopcy. Może trząść. – Nie czekając na odpowiedź Raynor wcisnął akcelerator i ruszył ku pustynnym pustkowiom.

Myśli kłębiły się w głowie Jima. Pojawiły się wspomnienia dawnych dni, kiedy razem z Tychusem Findlayem byli poszukiwanymi bandytami, żyli chwilą i kradli więcej, niż mogli wydać. To były czasy rozpusty w oparach alkoholu, beztroski i działania wyłącznie pod wpływem impulsu. To były czasy, które niemal zabiły Jima, a co gorsza niemal zabiły jego wiarę w to, że życie jest cokolwiek warte. Nie spodziewał się tych myśli, nie teraz, nie kiedy jego dziecko było w drodze i myślał o przyszłości, o lepszym życiu dla swojego potomka – takim, którego Jim nigdy nie miał. Zastanawiał się, gdy pędził przez wąwóz z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę, czy jego dziecko dowie się pewnego dnia o przeszłości, która teraz do Jima wracała. A jeśli tak, co Raynor mu powie? Czy naprawdę będzie potrafił nauczyć je różnicy między dobrem a złem, skoro sam wyrządził tak wiele zła, którego, jak się zdawało, nie sposób było naprawić?

Skup się, Jim. Nie wpadnij w jedną z tych króliczych nor.

Zagrozenie na Rozdrożach Zatracenia było bardzo realne. Na każdym kroku czaić się mogli grabieżcy i bandyci, którzy gdzieś mieli czyjeś życie. Zabójcy, co do jednego. Ostatnie, na co mógł sobie teraz pozwolić Raynor, to wjechać w pułapkę przez nieuwagę. Liddy nie może zostać samotną matką tylko dlatego, że on postanowił sobie powspominać i zaczął w sobie wątpić. Szlag, nienawidził McAarona.

Popołudnie zmieniało się we wczesny wieczór, a pustkowie mieniły się mieszaniną kolorów – jaskrawy błękit przecinały smugi czerwonego światła. Pustynia wyglądała o tej porze inaczej, niczym mistyczny krajobraz ze snu, gdzie kalejdoskop nieba ciągnął się w nieskończoność, a ostry piasek przypominał ocean czerni. Skąpa roślinność zniknęła w półmroku, paląca spiekota dnia ustąpiła w podmuchach chłodnego wiatru.

Kiedy pole widzenia Raynora skurczyło się do ostrego obrysu światła z motolotu, szeryf zwolnił i zaczął szukać miejsca na obóz. Przebył już tysiąc sześćset kilometrów. Pozostało jeszcze osiemset.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – warknął Rodney, gdy Raynor podszedł do schowka z tyłu sępa. – Nie zatrzymujemy się... Szeryfie, przecież wiesz, co tam czyha.

– Cicho być – powiedział T-Bone do Rodneya. – Idziesz się tylko odlać, prawda, szeryfie?

– Nie. A przynajmniej jeszcze nie. Rozbijamy obóz.

– Że co? – Głos Rodneya podniósł się o kilka oktaw.

– Nie zamierzam nawigować przez przełęcz w takiej ciemności, nawet z systemem namierzającym i z wyznaczoną trasą. O tej porze roku mamy szczyt anomalii. Chcecie przecież dotrzeć na miejsce w jednym kawałku, prawda?

– Właśnie, szeryfie. Więc dlaczego się zatrzymujemy? – Smalls zbliżył twarz do elektrycznych krat.

– A czym ty się tak przejmujesz, co? – zapytał Jim, po czym rozpakował schronienie. Przełamał patyk fluorescencyjny, na jego twarz padła czerwona poświata.

– Niewolnierzami... bandytami... ale głównie niewolnierzami. Wolę więzienie niż sprzedaż na niewolnika. – Rodney był już mocno poddenerwowany.

– Bardziej prawdopodobne, że nas znajdą, jeśli pojedziemy dalej. Powinieneś się bardziej denerwować jazdą niż postojem. Ruszamy z samego rana.

– Tam naprawdę są niewolnierzowie? – Marduke przerwał milczenie.

– Gang Mazora – dodał Smalls. – Wyrobili sobie reputację przez ostatni rok po napadach na wędrujących przez Rozdroża Zatracenia i porwaniach naukowców, którzy zlatują się tutaj, żeby badać pola minerałów.

– Nienawidzę niewolnierzów – powiedział ponuro Marduke.

– Spotkałeś ich kiedyś? – Rodney spytał Raynora.

– Nie. I nie zamierzam.

Kiedy Raynor skończył rozbijać obóz, ugotował część racji żywnościowych i odłożył trzy dodatkowe porcje. Więźniowie spojrzeli łakomie na paczki z jedzeniem i zbliżyli się do krat.

– Strasznie dużo żarcia jak na jednego człowieka – sarknął Smalls.

– Nie wszystko jest dla mnie, chłopcy. Staram się dbać o figurę. Założyłem, że będziecie mieli ochotę; te implanty raczej nie napełniają brzuchów. Miałem je kiedyś. W armii. – Raynor zaniósł trzy porcje pod celę i otworzył kasetkę podawczą. Tryby zaterkotały i porcje zostały bezpiecznie przetransportowane przez bariery do wnętrza. – Tylko lepiej podzielcie się po równo. – Raynor podniósł rękę z bransoletką, którą dał mu McAaron. – Ta śliczna biżuteria na waszych kostkach potrafi sprawić ból.

– Dlaczego na mnie patrzysz? – zapytał Marduke.

– Bo wyglądasz na najbardziej wygłodniałego, wielkoludzie.

Więźniowie wzięli swoje racje, zaszyli się w kątach i zaczęli skubać palcami osuszoną sonicznie papkę z mięsnego curry, która została przygotowana chyba kilka dekad temu. Raynor zrobił to samo, ale widelcem. Przywykł do domowych posiłków Liddy, nie do takiego żarcia. Jego więźniowie jednak rzucili się na racje, jakby były to wytworne dania.

- To jak, szeryfie, opowiesz nam o swojej karierze wyjętego spod prawa? – zagaił Smalls, gdy skończył posiłek.
- Dał nam jeść – wtrącił Rodney. – My możemy dać mu spokój.
- Nie mów mi, co mam robić – Smalls odwrócił się błyskawicznie do Rodneya, na co Raynor podniósł rękę i wskazał na bransoletkę.
- Bez obaw, szeryfie – zabrzmiał ponury, lodowaty głos Marduke’a. – Niech tylko spróbują przeszkodzić mi w kolacji, to nie będzie pan musiał nawet palcem kiwnąć, żeby ich zatrzymać.
- Tylko żeby zatrzymać ciebie, ta?
- Ta jest.
- Chcecie posłuchać o mojej przeszłości rabusia pociągów? – odparł z rezygnacją Raynor. – Byłem głupim gówniarzem, który nie miał się gdzie udać. Awanturnikiem wkurzonym na system. Opuściłem moich biednych i schorowanych rodziców rozczarowany ustawioną od początku wojną. Dla tych na Tarsonis to była gra, która pozwalała im wzbogacić się kosztem cierpienia takich jak ja. Wielu dobrych ludzi zginęło na nic. Czy byłem buntownikiem i łotrem? A jak. Czy jestem z tego dumny? Nie. Nie jestem.
- A ja tak. Lepsze to, kurna, niż los biednego, konfederackiego górnika, który tyra za nic. – T-Bone się zaśmiał. – Nie zamierzam zgrywać świętoszka. Nawaliłem się, zrobiłem głupotę i dałem się

capnąć. Chcesz udawać, że nie jesteś taki jak ja, szeryfie. Że nie podobało ci się to, co robięś, albo, że jesteś lepszy. Jak chcesz, niech ci będzie. Ale to nie znaczy, że musimy ci wierzyć.

– A ty? – Raynor spojrział na Rodneya. – Opowiesz mi, jak tutaj trafiłeś?

– No cóż... chyba zrobiłem się zachłanny. To znaczy, nie jestem taki... taki jak ci tutaj... Znaczy... po prostu byłem zachłanny. Jak raz zacząłem, nie mogłem przestać. Kredyty zaczęły płynąć strumieniami i zanim się zorientowałem, nie chciałem robić nic innego.

– A co z ludźmi, do których należały te pieniądze? – zapytał Raynor.

– Lepiej ty nam powiedz. A co z ludźmi, których ty skrzywdziłeś, Raynor? Siedzisz sobie wyniośle po drugiej stronie krat, bo masz wysoko postawionych przyjaciół. System nie jest fair. I stąd się biorą tacy źli ludzie jak ja. – Marduke nachylił się do krat. – I tacy farciarze jak ty.

Po tych słowach wszyscy milczeli, aż w końcu Raynor wstał bez słowa i położył się w schronieniu spać.

Raynora obudziła hłaśliwa kakofonia. Szybko wygramolił się ze schronienia na zimne, poranne powietrze. W celi Marduke przyciskał T-Bone'a do elektrycznych krat. Ładunki elektrostatyczne skwierczały nieustępliwie wokół ciała drobniejszego więźnia.

– Ty wielki sukin... postaw mnie!

Raynor nie wahał się ani chwili. Jedno szybkie naciśnięcie na bransoletę i elektryczne kajdany zaświeciły, gdy wysłały prosto do układu nerwowego impuls, który wywołał ból, jakby dentysta grzebał w żywym korzeniu zardzewiałym narzędziem, tyle tylko, że uczucie to obejmowało całe ciało. Brutal z wyciem upadł na podłogę. Smalls stanął nad nim i złożył dłonie szykując się do uderzenia.

– Ani się waż! – Raynor przyłożył palce do bransolety.

– Szeryfie, no... Tylko jedno porządne rąbnięcie. – Po twarzy T-Bone'a ściekała krew.

– Nie ma mowy – odparł Raynor. Smalls opuścił ręce i opadł na podłogę. – A teraz gadać, co się tu wyrabia?

– Jadaczka mu się nie zamyka, a nie wychodzi z niej nic mądrego. – Marduke uśmiechnął się do Raynora z zadowoleniem. – Nie skrzywdziłbym go nieodwracalnie... tylko tak, żeby nie zapomniał. Przydałby mu się porządny wpiernicz, żeby go naprostować.

– Nie chcę, żeby się to powtórzyło. Pakuję się, a na was chłopcy czeka rezerwacja w hotelu.

Marduke postął ręką pocałunek do T-Bone'a. Był to chyba najstraszniejszy pocałunek w historii.

T-Bone uśmiechnął się z szacunku dla brawury mężczyzny. Na jego miejscu zrobiłby to samo.

Rodney z kolei odwrócił się do Raynora.

– Widzisz! – załkał. – Widzisz, szeryfie... to nie jest miejsce dla mnie. Błagam, nie mogę trafić do Indio. Nie jestem taki jak oni.

Raynor nie skwitował tego nawet słowem.

Pół godziny później ponownie przemierzali kaniony. Skwar wrócił w pełni. Bezlitosna spiekota i suche gorąco przeszywało do kości.

Dotarli do Kanionu Wyroków, głębokiego wąwozu, w którym z płaskiego dna wyrastały minerały wielkie jak wzgórza. Raynor wjechał na jeden z olbrzymich, niebieskich kryształów, starając się nie wpaść do czarnej rozpadliny pod nim. Gdy szeryf znalazł się na szczycie, dostrzegł duży pióropusz dymu wzbijający się w powietrze jakieś piętnaście kilometrów na północ. Nie był to częsty widok na tych opuszczonych ziemiach. Raynor zatrzymał motocykl i wyciągnął lornetkę.

Przez soczewki dym był wyraźniejszy. Raynor zrobił zbliżenie i dostrzegł jęzory ognia po eksplozji liżące wrak transportowca.

– Szlag – wymamrotał do siebie. Że też akurat musiało mu się przytrafić coś takiego i to teraz, kiedy jego misja jest już prawie na ukończeniu, a Liddy czeka w domu i szykuje jego ulubione danie na kolację.

– Czemu się zatrzymujemy, szeryfie? – zapytał Rodney.

– Jakieś piętnaście kilometrów stąd jest ostrzelany transportowiec.

– No to co? – prychnął T-Bone.

– No to się rozejrzemy.

– Szeryfie, no co ty? Przecież to nie twoje zadanie – kontynuował T-Bone. – Musimy dzisiaj dotrzeć do Indio.

– Nie rób tego, szeryfie – błagał Rodney.

– Cisza. – Raynor włączył zapłon i ruszył pędem do transportowca.

Gdy się zbliżali, czarny dym zaczął się kłębić wokół wraku. Z wnętrza transportowca buchały płomienie. Eksplozja rozrzucała wokół fragmenty pojazdu. Wyglądało to na trafienie z wyrzutni rakiet, które przewróciło transportowca i rozniosło jego części po piachu. Raynor widział już takie zniszczenia – na wojnie. A także wtedy, gdy był rabusiem. Pamiętał, jak Tychus wywalił dziurę w ciężarówce bankowej, przewrócił ją i niemal zabił wszystkich w środku. Raynor pamiętał poczucie winy, gdy ujrzał strażników, próbujących uciec w panice z miejsca ataku, tuż przed tym, jak i oni, i kredyty, które starali się obrabować z Tychusem, zamieniły się w pył.

Raynor zatrzymał sępa. Swąd spalonej gumy i ostry odór chemikaliów uderzyły go w nozdrza. Na piasku leżały rozrzucone ciała z ranami kłutymi i szarpanymi, krew zamieniła piach w błoto. Musieli to być naukowcy, sądząc po kombinezonach klimatyzacyjnych. Korporacje często prowadziły badania na Rozdrożach Zatracenia. Tutejsze pola minerałów należały do jednych z najbogatszych w całym sektorze i mimo zagrożenia naukowcy i górnicy z Mar Sary (a nawet Chau)

przybywali tutaj, aby zarobić. Wielkie konglomeraty z Tarsonis wydawały niemałe pieniądze, żeby ściągnąć naukowców i nakłonić ich do ryzykowania życiem celem przetestowania potencjału minerałów w regionie i zdobycia informacji, które pomogłyby znaleźć sposób na ich syntezę. Trwały intensywne debaty nad tym, dlaczego akurat ten obszar, z wielu w sektorze, produkuje tak bogate w surowiec kryształy. Pierwsza korporacja, która poznałaby tę tajemnicę, zarobiłaby niewyobrażalną fortunę.

Nagle coś przykuło wzrok Raynora, ruch po prawej. Powoli sięgnął do kabury. Za jednym z mniejszych kryształów dostrzegł czubek głowy.

– Wyjdź natychmiast. Nie chcę problemów. – Raynor wyciągnął broń, zszedł z motolotu i przykucnął pod jego osłoną. Czekał na odpowiedź. Kiedy się nie doczekał, powoli wstał.

– Co robisz, szeryfie? Kryj się! – Zawołał Rodney z wnętrza celi. Raynor włożył broń z powrotem do kabury.

– Nie zamierzam zrobić ci krzywdy! – krzyknął Raynor.

– Odejdź! – zza formacji minerałów dobiegł głos kobiety. – Po prostu odejdź!

– Jestem szeryfem, proszę pani. Proszę wyjść.

– Bo już uwierzę. Odejdź stąd.

– Słuchaj, mam odznakę i w ogóle. – Raynor podniósł ręce. – Widzisz, nie chcę ci zrobić krzywdy.

Co się tutaj stało?

Zza krysztalu wyszła kobieta. Smukła, z krótkimi włosami, ubrana w szary, klimatyzowany kombinezon. Jej twarz pokryta była sadzą. W drżących rękach ścisnęła pistolet na flary i celowała prosto w Jima.

– Powiedziałam odejść.

– Niech pani odłoży ten pistolet. Nie musi się pani obawiać. Proszę pozwolić mi pomóc. – Głos Raynora brzmiał łagodnie i uspokajająco. Pod jego wpływem kobieta zaczęła się rozluźniać i opuszczać pistolet.

– Odłóż broń, kobieto! – krzyknął T-Bone z celi, przez co nieznajoma znów podniosła broń.

– Więzień, zamknąć się! – krzyknął Raynor i odwrócił się znowu do kobiety. – Nazywam się Jim Raynor. Jestem szeryfem Konfederacji z misją transportu więźniów. Są pod moją opieką. Proszę mi powiedzieć, co się tutaj stało.

Kobieta ponownie opuściła pistolet.

– Przepraszam. Ja... O Boże, przepraszam. – Zaczęła łkać. Raynor podszedł bliżej.

– Już w porządku. Jest pani bezpieczna. Proszę opowiedzieć, co się stało.

– Handlarze niewolników. Gang Mazora. Prowadziliśmy badania terenowe. Oni... oni nas napadli. Trafili transportowiec. Nie oszczędzili nikogo. Ukryłam się. Dowiedzieli się o obozie. Oni... szeryfie, błagam pana, oni kierują się do naszego obozu. Tam są rodziny i cała reszta. Musi ich pan powstrzymać.

– Spokojnie. Nie mogę pani tutaj zostawić.

– Jasne, że możesz! – krzyknął T-Bone.

Raynor stanął tuż przed nią.

– Przykro mi. Ale jesteś już bezpieczna. Chodź.

Badaczka wyszła zza kryształu.

– Nieprawda. Nie jestem. Nikt z nas nie jest. Zabili już moich współpracowników. Błagam, nie pozwól im zabić reszty... Tam są dzieci.

– Dzieci?

– Tak... ściągnęliśmy całą społeczność. Tylko tak mogliśmy prowadzić badania na taką skalę.

– Niech to szlag. Dlaczego to zrobiliście? Nie mogę cię tutaj zostawić.

– Daj mi broń, ukryję się. Przekażę ci współrzędne obozu. Po prostu tam jedź. Przynajmniej zabierz stamtąd moich ludzi. Błagam. Nie mogę pozwolić, żeby spotkało ich to samo. Albo coś jeszcze gorszego. Mazor... wiesz, do czego jest zdolny. Dobrze wiesz.

Raynor westchnął. Chciał wezwać wsparcie. Chciał sprowadzić cały batalion marines i załatwić Mazora i całą jego bandę potworów. Chciał wrócić do domu, do Liddy.

– Szeryfie, wynośmy się stąd. Błagam! – krzyknął Rodney.

Ale Jim już podjął decyzję. Tak naprawdę nie miał wyboru. Odkąd dostał szansę, przeniósł się na Mar Sarę, zostawił dawne życie za sobą i zaczął nowe, czuł, że musi odpokutować za grzechy przeszłości. Czuł, że może zasłużyć na odkupienie za dawne życie, jeśli będzie robił to, co słuszne. I właśnie teraz miał okazję zrobić to, co słuszne, chociaż podejmował się tego z ciężkim sercem. Sięgnął do schowka sępa i wyciągnął karabin oraz para-maskownik – poręczne urządzenie, które po aktywacji w ograniczonym stopniu pozwalało wtopić się w otoczenie, dzięki czemu jego użytkownik stawał się niewidzialny, a przynajmniej trudny do wypatrzenia dla obserwatorów znajdujących się w większej odległości – oraz trochę racji żywnościowych, tych samych, które jadł zeszłej nocy. Wręczył je kobiecie.

– Częstuj się. I ukryj. Jeśli ktoś się zbliży, wiesz, od czego masz pistolet.

– Chyba nie gadasz poważnie! – wtrącił się znowu T-Bone z celi. – Daj spokój, nie zamierzam zostać niewolnikiem. No weź się, szeryfie.

– Nawet nie wiemy, z czym mamy do czynienia.

– Właśnie tak się ginie, Raynor. Z głupoty. Nikogo nie obchodzi martwy bohater.

Ale Jim siedział już na sępie.

– Wrócę po panią – powiedział do badaczki i wcisnął gaz do dechy.

Manualna nawigacja prowadziła go głębiej do Kanionu Wyroków, pod współrzędne przekazane przez badaczkę. Im bardziej się zbliżał, tym większy uścisk czuł w żołądku. Słyszał melodyjny głos Liddy i słowa, którymi pożegnała go w drzwiach, gdy ruszał na Rozdroża Zatracenia: *Tylko wróć szybko. I uważaj na siebie!*

Raynor zatrzymał motolot na szczycie klifu i zsiadł. Położył się na ziemi płasko jak jakaś jaszczurka i znowu spojrzął przez lornetkę. Współrzędne bazy zamigotały zielono w wizjerze, a potem przeziernik wskazał na punkt na horyzoncie i włączyło się stukrotne zbliżenie. Raynor zobaczył bazę: była to okrągła budowla, z radarem na górze, otoczona kilkoma magazynami. Spojrzął w lewo, szukając ruchu, czegokolwiek, co wskazywałoby, że mieszkańcy są bezpieczni (lub nie). I właśnie wtedy zobaczył nierówny szereg modyfikowanych sępów, pomalowanych na czarno. Do wielu przyłączone były czaszki, które zwisały groteskowo z pojazdów. Do jednego przypięta była mobilna cela. Wewnątrz Raynor dostrzegł kształty dwóch pojmanych ludzi. Nie widział, czy to kobiety, czy mężczyźni; dla niego wyglądali jak szkielety obciążone cienką, spaloną słońcem

skórą. Musieli być tam przetrzymywani już bardzo długo. To nie naukowcy, ale jacyś inni biedni dranie.

– Szlag by to.

– Widzisz ich, szeryfie? – zagadał T-Bone.

– Siedź cicho. Chcesz ich zaalarmować? – warknął Raynor.

– Czyli ich widzi. Widzi ich. O, rany... – zajęczał Rodney.

Raynor dalej badał okolicę. Gdzie oni są? Gdzie są dzieci? Wtedy ujrzał grupę mężczyzn i kobietę, ustawionych w szeregu, z rękami na głowach. Prowadził ich człowiek z zafarbowanym na czerwono irokezem, w czarnych spodniach i skórzanej kamizelce na gołej, wytatuowanej klatce. Wokół szyi miał kolczatkę, a w nosie kolczyk. Raynor poczuł nagłe ucisk w dołku... To był członek gangu Mazora.

Jim przeskanował cały obóz i wypatrzył ich więcej. Łącznie dziesiątka, co najmniej. Każdy uzbrojony. Zauważył, że dzieci są oddzielone od dorosłych i ustawione w osobnym szeregu.

– Niech to – prychnął Raynor. Bandyci mieli przewagę liczebną i większą siłę rażenia, a on znajdował się sto sześćdziesiąt kilometrów z dala od trasy służącej do transportowania więźniów. Nikt tutaj nawet nie zajrzy. Ponownie spojrzął przez lornetkę. Wizjer zrobił zoom na nastolatka, który został pchnięty do grupki dzieci – razem było ich czworo. Raynor przesunął widok i znowu

zrobił zbliżenie. Tę twarz widział już chyba milion razy, zazwyczaj na listach gończych, a czasami w wideo-wiadomościach lub międzyplanetarnych biuletynach organów ścigania. Mazor we własnej osobie. Był to łysy mężczyzna, o śnieżnobiałej brodzie, muskularnej sylwetce i wyraźnie widocznym, świecącym na jasnoczerwono, cybernetycznym implancie optycznym.

– A niech mnie. – Przez głowę Jima przebiegło tysiąc myśli, ale wszystkie skupiały się wokół jednego. Raynor spodziewał się dziecka. I będzie ono żyło na świecie, po którym pełzają takie kreatury jak Mazor.

– Są tam? – zapytał Marduke.

– Są.

– Nie. Nie. Nie! – pisnął Rodney.

– To jak będzie, szeryfie? – zaczął dopytywać T-Bone. – Zamierzasz to zgłosić, gdy już się stąd wyniesiemy, czy jak?

– Szeryfie, popatrz! – To był Marduke. Raynor oderwał wzrok od wizjera i odwrócił się pośpiesznie. Zwiadowca gangu Mazora pędził przez wąwóz. Od gogli zwiadowcy odbiło się słońce. Patrzył prosto na nich.

– Niech to szlag! – Jim podbiegł do sępa i zaczął przekręcać gałki. – Muszę mu zablokować łączność. No dalej... dawaj.... jest! – Rozległ się wysoki pisk wybranej częstotliwości, oznaczający

nawiązanie połączenia i zablokowanie łączności zwiadowcy. Raynor wyciągnął długi karabin z tyłu sępa i podszedł do krawędzi klifu.

Spojrzał przez lunetę snajperską i zrobił zbliżenie. Z każdą sekundą pędzący naprzód motolot uciekającego zwiadowcy robił się coraz mniejszy. Raynor wziął głęboki wdech, przymierzył się do celu – nienawidził tego, że był to jedyny sposób – i bez wahania nacisnął spust.

Karabin kopnął jak grom. W ułamku sekundy pocisk trafił zwiadowcę i powalił go razem z motolotem w pełnym pędzie. Dobry strzał. Tychus byłby z niego dumny – trafienie jak za dawnych, dobrych czasów. Taki strzał mógłby oddać sam Ryk Kydd, snajper z batalionu Jima. Ale ten strzał stwarzał teraz problem.

Jeśli zwiadowca niedługo się nie zamelduje, reszta gangu zacznie go szukać, zaczynając od ostatniego miejsca pobytu – pomyślał Jim. Komplikowało to nieco sytuację. Siłą rzeczy Raynor musiał przystąpić do działania, i to natychmiast. Miał na głowie trupa zwiadowcy, niewolniarzy, szykujących dzieci do transportu, innych, gotowych do zabicia naukowców; a nie wolno mu było jeszcze zapominać o trzech skazańcach ściśniętych w celi jak sardynki w puszcze. A wróg wciąż miał przewagę liczebną i większą siłę rażenia.

Raynor podszedł do mobilnej celi. Spojrzał Marduke'owi Saulowi prosto w oczy.

– Umiesz korzystać z miotacza pocisków?

– Można tak powiedzieć. – Na twarzy Marduke'a pojawił się przebiegły uśmiešek.

– A ty, gaduło? Umiesz korzystać z igłownicy albo miotacza pocisków? – Raynor spojrział na T-Bone’a.

– A jak myślisz?

– A co z tobą, Rodney? Strzelałeś kiedyś z pistoletu?

– Ja... no więc...

– Z niczego nie strzelał – wtrącił się T-Bone.

– Strzelałem. Pewnie, że strzelałem – zapewnił Rodney.

Raynor odwrócił się do kanionu za plecami. Podmuch wiatru z doliny omiół mu twarz. Powietrze było chłodne i orzeźwiające w palącym słońcu, przypomniało Jimowi o dniach spędzonych na Shiloh. Ponownie spojrział do wnętrza celi.

– Powiedzmy, że mam dla was propozycję. Jest tam dziesięciu zakapiorów, którzy zbierają naukowców i ich dzieci albo na niewolników, albo do strach pomyśleć czego. Niedługo zaczną szukać tego zwiadowcy... a coś mi się zdaje, że mają zbyt dużą przewagę liczebną, żebym mógł zająć się nimi na własną rękę.

– Żebyś wiedział – przerwał mu T-Bone. – Moim zdaniem to cię przerasta.

– Rzecz w tym, że was jest trójka, a w sępie mam skrzynię z uzbrojeniem. Kilka min pajęczych i różne inne nieprzyjemności.

– No, szeryfie, niemądrze byłoby uzbrajać przestępców.

– No, niemądrze, Smalls. Ale mam jeszcze tę ładną bransoletę z sześcioma przyciskami, które mogą wam zadać wiele bólu – tylko zapytajcie Marduke’a – albo załatwić was na dobre. Więc aż takie niemądre, jak się zdaje, to nie jest.

– Wyjaśnij mi jeszcze raz, dlaczego mielibyśmy ci pomagać – Smalls zbliżył się do krat.

– A jeśli szepnę o was dobre słowo w Indio? Pomoc szeryfowi Konfederacji w takiej chwili mogłaby wam zapewnić względy u naczelnika.

– Albo wyrok śmierci u reszty więźniów – parsknął Marduke.

Raynor wiedział, że Saul miał rację. W taki sposób nie przekona więźniów do pomocy. Raz jeszcze pomyślał o czasach, gdy sam był w ich skórze. Pomyślał o życiu, przed którym uciekał, i o tym, jak romantyczne wydawało mu się na początku, dopóki nie wymknęło się całkowicie spod kontroli i nie zamieniło w spiralę przemocy, zagrożeń i żalu, z której nie było ucieczki. Do czasu, gdy przedstawiciel magistratu Mar Sary, człowiek, którego Raynor miał szczęście znać od młodości, ujrzał w nim coś, dał Jimowi nadzieję i złożył propozycję, która zmieniła jego życie i z przestępcy... pozwoliła stać się szeryfem Konfederacji.

- W porządku, wielkoludzie. – Raynor nachylił się do Marduke’a. Wiedział, że czasu jest coraz mniej. Musiał działać szybko. – Chcesz dostać szansę na odkupienie?
- Masz na myśli taką, jak ty? – wtrącił T-Bone. – Szansę na to, żeby jakiś waśniak wyczyścił mi kartotekę?
- Zgadza się... Pomóżcie mi uratować tych ludzi, a ja udam, że zaatakowali mnie łupieżcy i wszystkich was zabrali.
- Niech dobrze zrozumieć. – Marduke podszedł bliżej krat. – Pomożemy ci, a ty nas puścisz?
- Dla mnie wydaje się to fair. Dostajecie tę samą szansę, co ja.
- Zamierzasz wypuścić tego mordercę? – T-Bone z prychnięciem wskazał na Marduke’a. – Wiesz, co on zrobił?
- Wchodzę w to – zdecydował Rodney. – Lepiej uwierz. Wchodzę w to. Szansa, żeby uniknąć Indio? Niech mnie. Wchodzę w to!
- A zresztą, co mam do stracenia? Dobra... niech będzie – uśmiechnął się T-Bone.
- A co z tobą, wielkoludzie?

Marduke spochmurniał.

– I mam ci uwierzyć, ta?

– Zgadza się.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ człowiek ma na tym świecie tylko własne słowo, Marduke. A ja ci daję swoje. – Raynor popatrzył mordercy prosto w oczy. – I jeśli mówię, że możesz mi zaufać, to możesz mi zaufać.

– Wiesz, ilu ludzi dało mi już swoje słowo, Raynor? Ani jeden go nie dotrzymał... Szlag, moje życie wyglądałoby teraz zupełnie inaczej, gdyby dotrzymali. Raz zaufałem człowiekowi, który potem zabił moich rodziców. Raz zaufałem człowiekowi, który dał mi pierwszy stymulant. Raz zaufałem człowiekowi, który przygarnął mnie do rodziny złożonej z morderców i skazańców. Oto, gdzie odprowadziły mnie słowa innych, szeryfie. Chciałbym żyć na świecie, gdzie ludzie dotrzymują słowa.

– Masz moje. – Nie rezygnował Raynor. – Nie chcesz dostać drugiej szansy?

– Gdyby tylko tacy jak ja mogli dostać drugą szansę...

– Kiedyś myślałem podobnie – odparł Raynor. – Nie wiem, co innego mogę ci zaoferować.

Pozostaje pytanie, czy jesteś gotowy to przyjąć?

Marduke opuścił głowę. Zastanawiał się poważnie, ważył wszystko, co usłyszał. W końcu się odezwał.

– Zaufam ci na słowo, Raynor. Jeśli je złamiesz, nawet się nie zdziwię, ale... a niech to. Dobra. I tak nigdy nie lubiłem niewolniarzy.

– No to mamy niewolniarzy do powstrzymania, chłopcy. – Raynor dotknął dwóch przycisków na bransolecie i blask wokół krat zniknął. Kolejny przycisk podniósł kraty z tyłu mobilnej celi. Raynor otworzył schowek w sępie i zaczął wyciągać konfederacką broń. Igłownicę, miotacz pocisków i karabin Gaussa. Na dole znajdowała się skrzynia z minami pajęczymi.

– No ale śliczności – zażartował T-Bone. – Wezmę tę wielką. Gaussa.

– Nie, ta bardziej pasuje do mnie. – Marduke bez wahania chwycił za karabin.

– Mam plan – oznajmił Raynor.

Czterej mężczyźni zakradali się powoli, krok po kroku, coraz bliżej najbardziej wysuniętego na południe magazynu. Na zewnątrz dwóch ludzi z załogi Mazora przetrząsało kontenery – szukali najlepszych towarów do zagrabienia, a resztę rozrzucali po pustynnym piachu. Obaj byli ubrani na czarno i mieli jaskrawe, jasne włosy oraz kolczyki. Najwyraźniej też nie lubili się golić.

Raynor i trzech skazańców przyłgnęło do tylnej ściany magazynu. Jim dał ręką sygnał, a Marduke i T-Bone skierowali się na drugą stronę budowli. Raynor i Rodney ruszyli naprzód. Zanim Rodney się zorientował, Raynor już pędził z podniesioną kolbą broni na bandytów. Nie zauważyli jego obecności, dopóki nie przywalił jednemu mocno w skroń. Uderzenie zadudniło głucho jak hydrauliczny kombajn górniczy przy wydobywaniu surowców.

Bandyta runął na ziemię, z jego skroni trysnął gejzer krwi. Drugi sięgnął po broń i wycelował w Rodneya, który dopiero dobiegał na miejsce. Zanim bandzior zdążył oddać strzał, zza rogu wyłonił się Marduke. Prawym ramieniem objął bandziora za szyję, a lewą dłonią zasłonił mu usta.

– Zaprowadź go na tył. – Raynor chwycił nieprzytomnego bandytę za stopy i zaciągnął w cień za magazynem, skąd nie byli widoczni, a Marduke przytrzymał drugiego. Choć mężczyzna się szamotał z całym siłą, olbrzym nie puszczał. Dopiero za budynkiem Marduke uwolnił niewolnicarza, po czym zamachnął się i trafił pięścią z oszałamiającą szybkością w szczękę. Jeniec upadł i zaczął pluć krwią. Raynor przykucnął i ujął mężczyznę za podbródek.

– Dokąd twoi kumple zabrali dzieci i resztę?

Głowa bandyty przechyliła się w lewo, jakby była zamocowana na luźnym przegubie. Uśmiechnął się i wyszczerzył zaplamione na czerwono zęby.

– Szeryf Konfederacji. Będziesz niezłym łupem. Pójdiesz za niezłą sumkę.

TRZASK! Tym razem to pięść Raynora rąbnęła bandytę w twarz. Jim złamał wielu ludzi; tego również nie zamierzał oszczędzać. Przyłożył broń do skroni mężczyzny.

– Właśnie włączyłem tłumik. Zdajesz sobie sprawę, że ten obszar podlega pod moją jurysdykcję i mam prawo wymierzać tutaj sprawiedliwość w taki sposób, w jaki uznam za słuszny, prawda?

– To i tak nieważne. Zabierają dzieci na aukcję... A naukowców... naukowców do grobu.

– Naukowcy nie chodzą po tyle, co dzieci – splunął T-Bone.

– Twój zastępca ma rację – potwierdził bandzior, po czym odwrócił się do Rodneya i wyszczerzył zęby. – Widzisz tego tutaj? To słabe ogniwo.

Bandzior w okamgnieniu zerwał się na równe nogi w i sięgnął po broń Rodneya. Zanim jednak zdążył ją chwycić, Marduke wywalił mu wielką dziurę w głowie strzałem z gaussa.

– Szlag. Na pewno to usłyszeli – westchnął Rodney.

– No to ruszajmy. Marduke, ty i Smalls idźcie po dzieci. Kierujcie się tymi śladami na wschód.

Dzieci powinny nadal być w obozie. Rodney, ty idziesz ze mną. Powstrzymamy egzekucję! Aha i jeszcze jedno, chłopcy, te kajdany mają diabelsko duży zasięg.

– Człowieku małej wiary – wyszczerzył zęby T-Bone, a następnie zwrócił się do Marduke. – Chodź, wielki zwierzaku. Uratujmy te dzieciaki.

Jim i Rodney szli przyczajeni tuż przy ścianach magazynu. Starali się pozostać w ukryciu i jak najbliżej podkraść się do obozowiska. Kierowali się długim, podwójnym śladem stóp należących do niewolników i ich oprawców. Słyszeli już głosy tuż przed sobą i przy centrum dowodzenia. Byli blisko. Rzucili się do ściany w cieniu dużego talerza radaru i powoli wyjrżeli na tyły.

– Niech to – wymamrotał Raynor i ściągnął Rodneya za koszulę na ziemię. – Leż. Oni... oni każą im kopać własne groby.

Teraz mógł ich zobaczyć. Sześciu naukowców kopiących łopatami masowy grób. Na ziemi, w kałuży krwi, leżało ciało siódmego, z raną postrzałową w głowie. Za naukowcami stał Mazor i trzech jego zbirów.

Raynor zdjął torbę z ramienia i położył obok. Wewnątrz znajdowały się miny pajęczne.

– Dobra, podłożymy je i ściągniemy tutaj tych śmieci. Kiedy powiem, włączysz uzbrajanie. Zrozumiałeś?

Nawet się nie zorientował, co go trafiło.

Gdy odwracał się do Rodneya, Raynor dostał w twarz kolbą broni. Upadł. Próbował spojrzeć, ale nie mógł nawet unieść powiek. Nic nie słyszał, tylko dzwonięcie w uszach, które wwiercało się coraz głębiej w podstawę czaszki. Zastanawiał się, czy bandyci zaszli go z tyłu. Czyżby Mazor był

lepszym taktykiem, niż Jimowi się wydawało, i wysłał jeszcze jednego zwiadowcę? Wreszcie nadludzkim wysiłkiem woli Raynorowi udało się otworzyć oczy.

Nad nim stał Rodney. Odepchnął Raynora, sięgnął za jego plecy i złapał za torbę z minami pajęczymi.

– Powinny być dużo warte. – Rodney spojrział na Raynora z góry. Szeryf miał otwarte oczy i desperacko wyciągnął rękę.

– A niech mnie, szeryfie – szepnął Rodney. – Nie wiesz, że ludzie się nie zmieniają? Jestem skazańcem, głupcze!

I z tym słowy przywalił Raynorowi z buta prosto w nos. Jimowi pociemniało przed oczami. Stracił przytomność.

Marduke i T-Bone ruszyli po śladach za magazyny do miejsca, w którym obok wież z kondensatorami wilgoci zaparkowane były motoloty gangu Mazora. Usłyszeli głosy, przywarli więc do ziemi i zaczęli powoli się czołgać. Marduke zakradał się już do wielu ludzi i zawsze udawało mu się ich załatwić, zanim go zauważyli. Robił to na wiele różnych sposobów: czasami z ostrzem w ręku, czasami z bronią, a czasami, gdy trzeba było, gołymi rękami. Nie lubił w ten sposób. Zbyt powoli i wyczerpująco, zwłaszcza że czuł, kiedy ludzie umierają i wydają z siebie ostatnie tchnienie.

Na początku każda śmierć mu doskwierała, wspomnienie każdej wyłaziło na wierzch w nocy lub, gdy był sam. Ale nagle, pewnego dnia, wszystkie skrupuły zniknęły. Zaczął mordować bez mrugnięcia okiem, przestał zwracać na to uwagę. Na swój sposób było to jeszcze bardziej przerażające i dręczyło go bardziej niż wszystkie wspomnienia razem wzięte. Teraz był już tym zmęczony. Zakradaniem się, zabijaniem. Wyrok skazujący go na El Indio przyjął wręcz jak błogosławieństwo. Nikt z dawnych współników nie przyjdzie po pomoc. Wiedzieli, że dni Marduke'a dobiegły końca.

A jeśli nie? – pomyślał. A jeśli mógłby zacząć od nowa? Jeśli wszyscy uwierzą, że Marduke zginął lub zaginął na pustyni? Wtedy może, i tylko może, Raynor miałby rację, i istniała szansa dla takiego szubrawca. Oczywiście wszystko po kolei. Dni zabijania jeszcze się nie skończyły. Przynajmniej ci tutaj i teraz zasługiwali na śmierć. Nawet się nie zorientują, co ich trafiło.

Marduke i T-Bone podczołgali się blisko wież z kondensatorami wilgoci, których wentylatory obracały się powoli w najłżejszych nawet podmuchach pustynnego wiatru. Po drugiej stronie gang Mazora ładował młodzież do własnej mobilnej celi. Był to starszy model, a kraty wyglądały na zardzewiałe i osłabione przez suche powietrze i pustynny piach. Dzieci były w szoku, na ich twarzach malowały się przerażenie i zmartwienie.

Gdy wiatrak kondensatora wilgoci wykonał ostatni, skrzypiący obrót i stanął, Marduke odwrócił się do Smallsa i krzyknął:

– Teraz!

Marduke Saul zerwał się i wybiegł z ukrycia. Utorował sobie drogę strzałami z karabinu gaussa. Wysoki pisk kolców rozpędzonych do prędkości naddźwiękowej był ogłuszający, gdy pociski przebijały ciała i kości bandziorów na wylot. T-Bone szybko ruszył śladami współwięźnia, podniósł miotacz pocisków i zaczął posyłać krótkie serie, jedna po drugiej, w członków gangu. Dzieci rozbiegły się z krzykiem, część padła na ziemię, inne schowały się za mobilną celę. Bandziory Mazora nie miały szans. Marduke był zawodowcem, a dzięki elementowi zaskoczenia zyskał przewagę. Wszystko skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Tak właśnie działała nowoczesna broń. Ludzkie ciała nie zostały stworzone, aby oprzeć się sile pocisków rozpędzonych do prędkości nieosiągalnych dla dźwięku, a nawet najlepsze pancerze nie stanowiły wyzwania dla kogoś, kto wiedział, gdzie celować.

Marduke popatrzył na rzeźnię, której dokonał. Potem popatrzył przenikliwie na struchlałe dzieci, które schowały się, za czym się tylko dało – motolotami, mobilną celę. Ich łzy wyrażały zarazem ulgę, niepewność i przerażenie. Czy nieznajomi przybyli tutaj, aby wykraść czy uratować dzieci od handlarzy niewolników? Marduke zdawał sobie z tego sprawę. Dojrzał ich strach i wiedział, że dzieci czują się niepewnie.

– No już, dzieciaki. Nie gryziemy. Chyba, że lubicie, dziewczyny. – T-Bone zerkał na jedną ze starszych dziewczyn. Śliczna blondynka mogła mieć może szesnaście lat.

– Stul pysk, Smalls. Stul i nie otwieraj, bo wyrwę ci szczękę z tej parszywej mordy. – Marduke spojrzął lodowato na T-Bone’a Smallsa, a następnie odwrócił się do dzieci. – Już dobrze, słyszycie? Jest dobrze.

Słowa nie miały większego sensu, gdy wokół była tylko śmierć i krew.

– Do diabła, żartuję tylko, wielkoludzie. Włos tym aniołkom z głowy nie spadnie. No, może z wyjątkiem tego aniołka.

Marduke bez wahania chwycił T-Bone'a za gardło i podniósł wysoko.

– Kazałem ci stulić pysk i nie otwierać, prawda?

T-Bone zaczął się krztusić i dusić. Puścił miotacz pocisków i starał się obiema rękami rozewrzeć uścisk Saula.

– Okej – zdołał wykrztusić. – Puść.

– Chłopcy. Chłopcy! Przestańcie!

Marduke odwrócił się i zobaczył Rodneya wymachującego bransoletą Raynora, która kontrolowała kajdany na ich kostkach.

– Postaw go – powiedział Rodney do Saula. – Jesteśmy wolni. Wynośmy się stąd.

Marduke postawił Smallsa i zwolnił uścisk.

– Co się stało z szeryfem?

Rodney wyszczerzył zęby.

– Facet był zbyt ufny – odparł, po czym nacisnął przycisk na bransolecie. Kajdany spadły z kostek skazańców. – Zresztą kogo to obchodzi? Myślisz, że naprawdę by nas puścił? Takiego. Mamy motoloty. Niech to, mamy nawet identyfikatory martwych naukowców. Spadajmy, zanim ludzie Mazora ogarną, co się stało.

T-Bone się zaśmiał. Doszedł do niego komizm całej sytuacji i poczuł ulgę, że jest wolny. Żadnego El Indio i znacznie mniej ryzyka.

– *Facet był zbyt ufny.* Niech mnie. Dobra robota, gościu. A już myślałem, że z ciebie mięczak.

– Żyje? – zapytał Marduke.

– Kto? – zdziwił się Rodney.

– Szeryf.

– Tak myślę... nie wiem. Ostro rąbnąłem go w łeb. – Rodney podszedł do motolotów. Dzieci, wyczuwszy niebezpieczeństwo, zebrały się razem i skuliły się obok mobilnej celi.

– Podoba mi się ta śliczność tutaj. A tobie, Rodney? – T-Bone znowu zaczął taksować wzrokiem blondynkę. Dziewczyna osunęła się po ścianie mobilnej celi i przyłgnęła do krat, jakby myślała, że uda się za nimi schować.

Marduke obserwował skazańców, ludzi takich jak on, z ponurą przeszłością i pozbawionych moralności. Ludzi, których znał całe życie. Wtedy wróciły do niego słowa Raynora: *Człowiek ma na tym świecie tylko swoje słowo, Marduke. A ja ci daję moje.*

– T-Bone – krzyknął Saul.

Gdy Smalls się odwrócił, Marduke rąbnął go solidnie pięścią w twarz i postął na ziemię w rozbryzgu krwi.

– Co ty od... – Rodney nie miał okazji dokończyć. Marduke uderzył go w nasadę nosa i znokautował.

Dzieci patrzyły zupełnie zdezorientowane. Przez godzinę ujrzały więcej przemocy niż przez całe dotychczasowe życie. Nic z tego nie miało dla nich żadnego sensu.

– Patrzcie, kogo my tu mamy: prawdziwego szeryfa Konfederacji. – Mazor spojrział z góry na Raynora i wyszczerzył zdobione złotymi koronkami zęby z sadystycznym zadowoleniem ze znaleziska; jego cybernetyczne oko zaświstało, gdy robiło zoom.

Raynor ostrożnie otworzył oczy. Powieki miał sklezione zaschniętą krwią. Twarz go bolała jak diabli. Czuł, że puchnie jak balon. Przez krew i ogólną dezorientację ledwie widział stojącego nad nim mężczyznę. Kiedy w końcu go rozpoznał, powiedział tylko:

– Mazor.

Zęby Mazora błysnęły w słońcu, gdy przywódca gangu odwrócił się do dwóch stojących obok niego handlarzy niewolników. – Patrzcie tylko, chłopcy. Jestem sławny.

– Sławny za niewolnictwo – wykaszał Raynor. Krew ściekała mu do gardła.

– A kto mówi, że to coś złego? A teraz podnoś dupę. – Mazor wymierzył Raynorowi w czoło miotacz pocisków.

Jim spojrzał na lufę. Zatem tak to się skończy. W pogoni za głupim marzeniem, że w jakiś sposób, pewnego dnia Jim zdoła stać się lepszym człowiekiem. To przeklęte poczucie winy doprowadziło go tutaj, Raynor dobrze o tym wiedział. Jego własne, głupie pragnienie odpokutowania za to, kim kiedyś był, i wiara, że inni też mogą znaleźć odkupienie. Naiwne, dziecięce mrzonki. Co gorsza, to Liddy za nie zapłaci i dziecko, które wkrótce przyjdzie na świat.

– Szlag. – Raynor wstał chwiejnie. Próbował się wyprostować, aby spojrzeć Mazorowi prosto w oczy. Nie zamierzał dawać bandziorowi satysfakcji i zginąć na klęczkach, jakby błagał. Jeśli tak się to miało skończyć, to niech przynajmniej odbędzie się z godnością.

Mazor spotkał jego wzrok, mechanizm cybernetycznego oka zaświstał przy dostosowaniu ostrości. – Chcę ci coś pokazać. Odwróć się.

– Nie – odparł Raynor.

– Nie?

– Skoro chcesz mnie zabić, przynajmniej patrz mi w oczy.

Mazor spojrział. W jego oczach czaiła się śmierć. Ale nagle spojrzenie bandyty się rozpuściło i powrócił uśmiezek odsłaniający złocone, spróchniałe zęby. Zaraz jednak uśmiech zniknął, a twarz wykrzywiła się w grymasie gniewu. Miotacz pocisków trafił Raynora w brzuch i szeryf osunął się na kolana i zaczął pluć krwią.

Raynor usłyszał tubalny śmiech handlarzy niewolników. Miał wrażenie, jakby wnętrzości zaczęły mu przeciekać. Kolba miotacza ponownie zbliżyła się do jego czoła.

– Szeryfie, pańskie usługi nie są już potrzebne na Mar Sarze.

Jim zamknął oczy. Pomyślał o tym, jak tutaj trafił. Pomyślał o czasach z Tychusem i wojnie dawno temu. Miał nadzieję, że zrobił wystarczająco dużo. Miał nadzieję, że ostatecznie udało mu się zrobić tyle, żeby zapamiętano go jako dobrego człowieka. Miał nadzieję, że Liddy będzie tak opowiadać dziecku o ojcu. Wziął głęboki oddech i przygotował się na koniec.

Nabierał tchu, gdy do jego uszu dobiegł terkot i świst naddźwiękowych kolców, rozdzierających ciało i kości. Mazor padł trupem, podobnie jak dwóch zbirów obok niego. Kolce przeszywały powietrze wokół Jima, a pozostali niewolnicy rozpierzchli się i starali uciec. Nic z tego. Spadał na nich grad stali. W tej sytuacji Raynor zrobił jedyne, co mógł. Położył się płasko na ziemi. Wokół

niego w powietrze wzbily się tumany kurzu, nie widział niczego; słyszał jedynie wrzaski umierających ludzi w zabójczym huku i świstach wystrzałów.

Czuł, jakby minęła wieczność, ale strzelanie wreszcie się skończyło. Kurz zaczął opadać i Raynor spotkał pozbawione życia spojrzenie Mazora. Jego cybernetyczne oko starało się złapać ostrość, mechanizmy ze zgrzytem poruszały się tam i z powrotem. Raynor chwycił za broń i zaczął się czołgać przed siebie, żeby uciec pod osłoną tumanów kurzu i piachu. Nie był pewien, kto strzela, i nie miał pojęcia, czy to przyjaciel, czy wróg.

– Szeryfie! – usłyszał Raynor. – Szeryfie, jest czysto.

Rozpoznał ten głos.

– Marduke? – szepnął Jim. – Saul, to ty?

– Dotrzymałem słowa, szeryfie.

Raynor wreszcie go zobaczył, ciemną, muskularną sylwetkę zza wirującego piasku na tle jaskrawych barw nadchodzącego zmierzchu. Jim spróbował wstać, ale zaraz zwinął się od kłującego bólu w brzuchu. Wszędzie leżały ciała, porzucane i rozszarpane nie do poznania.

Dziwny sposób na znalezienie odkupienia, pomyślał Jim. Ciągle się chwia i miał rozmazany wzrok, ale zdołał wstać.

– Pytanie brzmi – Marduke ścisnął karabin Gaussa w rękach, potem podał Jimowi. – Czy ty dotrzymasz swojego?

Raynor był już niemal za Rozdrożami Zatracenia, gdy dotarło do niego w pełni. Odebrał badaczkę z Kanionu Wyroków i zawiózł ją do bazy naukowców. Razem z Mardukiem pomogli pochować ciała. Wiedział, że uratowane dzieci nigdy nie zapomną tego dnia. Przez wiele lat będą je dręczyć koszmary. Wiedział też jednak, że zapamiętają to, co zrobił i, co równie ważne, co zrobił Marduke. Raynor miał nadzieję, że zaczną się nad tym zastanawiać i pocieszy je świadomość, i, że są jeszcze na tym świecie ludzie gotowi przeciwstawić się złu. Skanery zamrugały i znów się aktywowały. Łączność sępa rozbrzmiała gwarem rozmów kierowców ciężarówek górniczych, transportowców i miejscowych osadników stawiających druty kolczaste. Do El Indio zostało już tylko trzysta dwadzieścia kilometrów. Nim się spostrzeże, będzie na miejscu.

Nie jechał z ładunkiem, którego się spodziewali. Zamiast trzech wiózł w celi jedynie dwóch skazańców: T-Bone'a Smallsa i Rodneya Oseena. Zabójca Marduke Saul zginął w ataku gangu Mazora. Saul i reszta zbirów zostali pochowani razem z kilkoma nieszczęsnymi naukowcami w zbiorowej mogile, którą ofiary musiały same wykopać.

A przynajmniej tę historię powtarzał sobie w kółko, by przedstawić ją w oficjalnym meldunku. Saul zniknął. Jim dotrzymał słowa. Marduke został wolnym człowiekiem i miał szansę, aby zacząć życie na nowo; nadzieję, by zostać, kim tylko zechce.

Wiatr dudnił mu w uszach, Raynor przekroczył oficjalną granicę Rozdroży Zatracenia i zastanawiał się, czy postąpił słusznie. Wyobraził sobie Marduke'a przemierzającego Rozdroża na jednym z motolotów gangu Mazora. Wielkolud jechał ku zachodzącemu słońcu tak jak Raynor. Saul zaczynał od nowa – oby – z kontem czystym jak pustynne niebo. Jim zastanawiał się, czy to możliwe. Zastanawiał się też, czy w jego przypadku także się uda. Wciąż nie był pewien. Wiedział natomiast, że chce w to wierzyć. Wracał do Liddy, do ich dziecka, do życia, o którym nigdy nie sądził, że będzie go godzien. Ale lubił myśleć, że jest. Ta myśl bardzo mu się podobała.

KONIEC